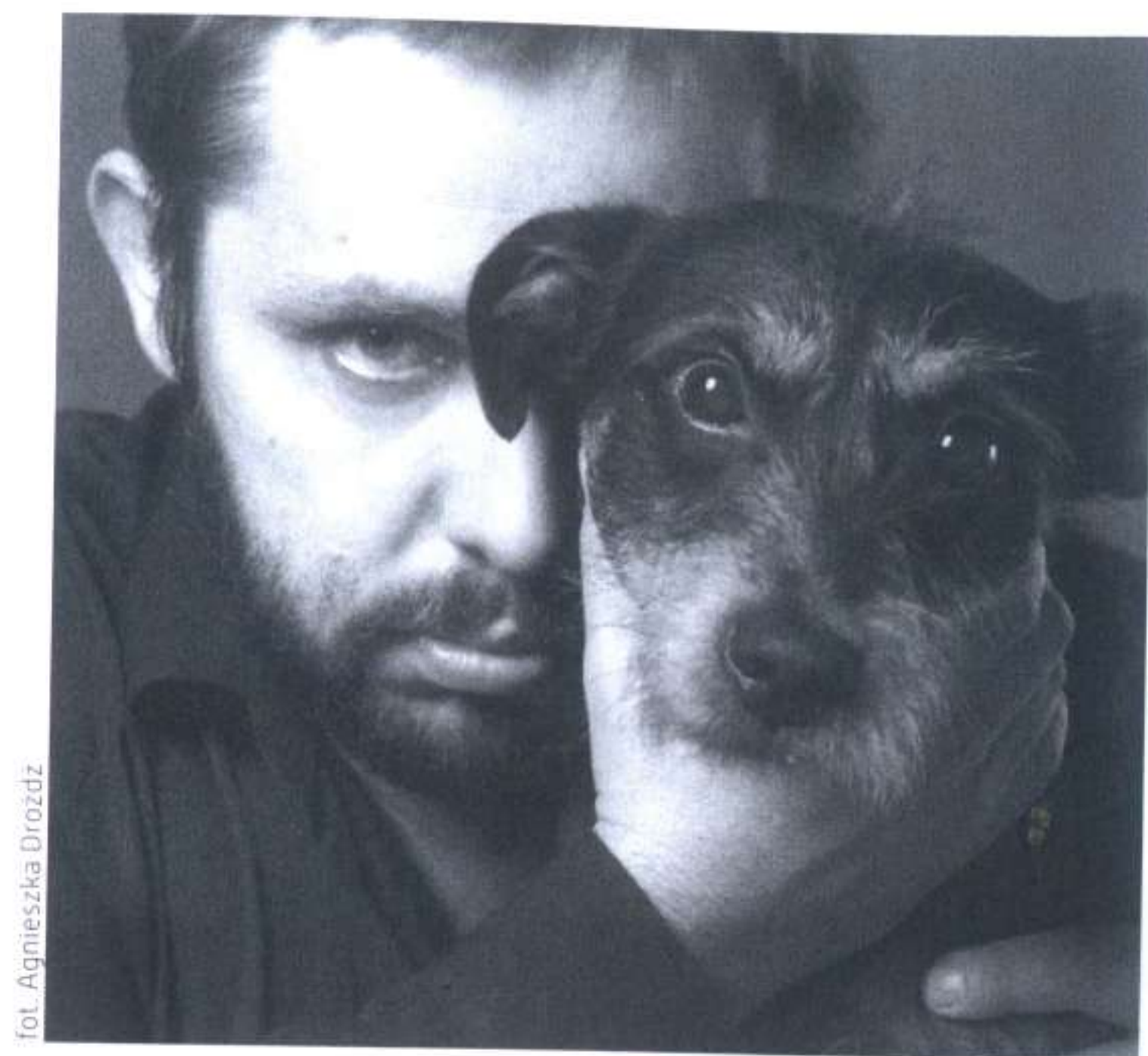




fot. Agnieszka Drozd

CHŁÓD REKONSTRUKCJI

AUTOR: ARTUR PAŁYGA

Wszystko mi się przypomniało. Czasem, bardzo rzadko, tak właśnie działa spektakl. Że wszystko się przypomina. Patrzyłem na rekonstrukcję umierania Jana Pawła II w reżyserii Jakuba Skrzywanka, tyle o niej słyszałem i wreszcie ją widzę. To nie jest takie proste i na pewno nie oczywiste, że ogląda się inne spektakle teatralne, kiedy pracuje się w teatrze. Ale się udało i jestem tu. I równolegle do rekonstrukcji scenicznej odbywa się moja wewnętrzna rekonstrukcja. Dlaczego ja tam wtedy pojechałem? Co mną kierowało? Żeby pojechać na pogrzeb naszego papieża. Jeszcze nie było to wtedy podejrzane, jeszcze nie było śmieszne, nawet dziwne nie było. Cały polski Internet zasypały ogłoszenia typu: „Mamy wolne miejsca w aucie. Zrzutka na benzynę”.

– Może bym pojechał... – mówię.

– Jedź! – mówi Beata.

Wybrałem pierwsze z brzegu ogłoszenie. Tej samej nocy wsiadłem do cudzego auta. Było w nim już trzech obcych sobie facetów plus kierowca – właściciel samochodu. Było ciasno. Co dwie, trzy godziny zatrzymywaliśmy się, żeby się rozprostować i zamienić miejscami. Raczej nie gadaliśmy, z wyjątkiem jakichś prostych komentarzy do tego, co za oknem. Że noc.

– Noc, noc.

– Ciemno.

– Ciemno, ciemno.

– Znicze.

– Znicze, znicze.

Na obu poboczach wzdłuż całej drogi do samej granicy porozstawiane były jeden przy drugim płonące znicze.

Telefony, esemesy od bliskich, że w telewizji mówią, że nas nie przepuszczą przez granicę, bo za dużo ludzi jedzie i się wszyscy nie pomieszczą na pogrzebie. Potem już prawie absolutnie pewna informacja, że Austriacy cofają z granicy auta na polskich blachach, no bez przesady, żeby tylu

Polaków było naraz w Rzymie. Nikt z nas w aucie w ogóle tego nie komentuje. Jedziemy. Nastrój nie jest jakiś uroczysty, ale nikomu się specjalnie nie chce gadać. I nie bardzo wiadomo, o czym i jak rozmawiać w takiej drodze. Nie ma klasycznych rozmów typu: „Skąd jesteś? Co robisz w życiu? Czy masz dzieci i ile?”. Nic nie ma.

Na granicy austriackiej nie tylko, że bez problemu, to jeszcze jakaś niezwykła życzliwość. Pytają, czy niczego nie potrzebujemy. Wody, jedzenia, pomocy medycznej, wyjaśnienia drogi?

Zatrzymują nas na rogatkach Rzymu i dalej każą komunikacją miejską. Nie trzeba mieć biletu. Ogromna liczba włoskich wolontariuszy troszczy się, opiekuje, kieruje, rozdaje wodę w butelkach. W tłumie krok za krokiem idącym do Bazyliki św. Piotra, gdzie wystawione jest ciało, oprócz nas, w naszym zasięgu słuchu, nie ma żadnych Polaków. Również później przez całą noc spędzoną na ulicy przy placu św. Piotra dociera do mnie, że to nie jest wcale polski papież. Wtedy w tamtym miejscu najbardziej to on mi się wydawał brazylijski i trochę meksykański. Brazylijczycy do rana śpiewali i tańczyli jakieś samby. Meksykanie na turystycznych kuchenkach robili tacos i rozdawali je. Panował nieco klimat karnawału. Dopiero nazajutrz spotkałem grupę młodych z Polski. Latinoamerykański karnawałowy nastrój udzielił się im.

– To przecież nie jest smutna uroczystość! – krzyknął mi jeden z nich, być może zaniepokojony, że jako mieszkaniec krainy chłodnych ironistów, Polski, mógłbym ten ich śmiech źle odebrać.

Ale całe te rzesze takich jak ja i jak moi współpasażerowie – którzy w wielkiej masie nadjechali z Polski – gdzieś się rozproszyły i zniknęły w tym ogólnoświatowym, potężnym megatłumie skandującym: „Santo subito!”.

No dobra, reportaż z tego napisałem już wtedy, więc nie będę się powtarzał. Chcę powiedzieć, że to, co mi się przede wszystkim przypomniało podczas Skrzywankowej rekonstrukcji, to tamte emocje. Ta samba, te tacos, ten śmiech, ten galaktyczny tłum wszechludzki – nie wiem, być może już nigdy takiego nie będzie – który przyjechał pożegnać wylatującego do nieba papieża.

Można by określić to, co tam wtedy między innymi panowało, jako pogodę ducha, mimo że oczywiście było też uroczyste i również smutno, ale to nie był przygnębiający smutek.

I po spektaklu rzuciłem się czytać wspomnienia osób, które były tam, po drugiej stronie, a którym aktorzy użyczyli swoich ciał na scenie. Najpierw mi wpadły w oko wypowiedzi Massimiliana, sanitariusza, o jego emocjach, o tym, że lekarz się rozplakał i że czuwającym sanitariuszom watykańscy hierarchowie donosili ciasteczka i kawę, i że ta starsza siostrzyczka słynęła z poczucia humoru i sobie wspólnie z papieżem lubili podowcipkować, a raz to się przebrała za świętego mikołaja itp. Pewnie, możliwe, że Massimiliano i inni nakłaniali w tych relacjach, naściemniiali pod publiczność. Być może mówili to, co ludzie chcieli usłyszeć, to, co powinni byli mówić. Dla tych galaktycznych tłumów krzyczących radośnie i do zdarcia gardła: „Santo subito!”, JP2 był poza wszelkim podejrzeniem. Być może inaczej wspominaliby to dzisiaj, kiedy przesłania go ponury cień i w tym cieniu wszystko wygląda inaczej, niż wyglądało wtedy.

Moim odkryciem podczas tego znakomitego spektaklu było, że nie rekonstruuje się emocji. Nie tylko tu. W ogóle. Każda rekonstrukcja, jaką widziałem do tej pory, była choreografią zdarzeń. A wypowiadane słowa to cymbał brzęiący. I chcę tylko powiedzieć, że ja tę miłość pamiętam. I że tym bardziej, tym gorzej, tym trudniej oraz tym tragiczniej, że ona była naprawdę. ■